**Agnieszka Jabłońska**

**Legenda o szpetnym Kovidzie.**

Za siedmioma górami, za gęstymi lasami, na szerokim tarasie górującym nad brzegiem Wisły, stał bogaty zamek ze strzelistymi wieżami. Był wysoki, zbudowany z kamieni rzecznych i otoczony kamiennym murem. Prowadziła do niego tylko jedna drewniana brama, na głucho na co dzień zamknięta. Nad bramą wisiała złota korona, która lśniła w pełnym słońcu. Otwierano ją zawsze wczesnym rankiem, gdy mieszkańcy pobliskiego Osieka jeszcze spali. Wychodził z niej młodzieniec, którego imię zmieniło dzieje mieszkańców obrowskiej ziemi. Był to Kovid, potomek rodu przybyłego wiosną z dalekich Chin. Był on jednym z 19 braci, którzy wyjechali ze swej ojczyzny, by szukać swojego miejsca na Ziemi. Na początku ludzie traktowali go przyjaźnie, choć nie grzeszył urodą. Na twarzy miał liczne blizny, usta szpetne, a do tego zeza. Dla miejscowych był bardzo niemiły i traktował wszystkich z góry. Wkrótce ludziom przestało się podobać takie zachowanie i niechętnie z nim rozmawiali. To nie spodobało się Kovidowi, który twierdził, że miejscowi powinni być mu wdzięczni za samą obecność. Zamknął się w zamku i kilka dni nie wychodził, obmyślając zemstę. Pewnego dnia pojechał czarnym powozem do swojej ojczyzny i długo nie wracał. Ludzie mówili, że celem jego podróży było spotkanie z chińskimi magami, wróżbitami i czarownikami. Kiedy wrócił, wiózł na dachu powozu duży kufer, pokryty tajemniczymi znakami, z którego dobiegało rytmiczne pobrzękiwanie szkła, gdy powóz podskakiwał na nierównościach drogi. Miejscowi słysząc to, przystawali na trakcie zastanawiając się, w jakim celu Kovid wiezie te magiczne mikstury do swojego zamku.

Przez kilka dni po powrocie z Chin Kovid się nie pokazywał nikomu. Tylko wieczorami od strony zamku dobiegał dziki, jakby szatański śmiech, a z kominów wydobywały się pióropusze czerwonego dymu. Ludzie zaczęli się obawiać, co ich czeka, gdy Kovid się pojawi. I niestety, nastały straszne czasy zemsty. Kovid zaczął wychodzić ze swojego zamku, gdy nie rozstąpiły się jeszcze nadrzeczne mgły, by potajemnie szukać swoich ofiar. Gdziekolwiek się pojawił, na kogo tylko nie spojrzał, ten zapadał na przedziwną chorobę. Zaczął wzbudzać w ludziach nieopisany strach. Ludzie leżeli trawieni przez gorączkę, cierpieli duszności i takie ataki kaszlu, że nie mogli złapać tchu. Młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni, wszyscy czuli się zagrożeni. Polował na mężczyzn spieszących do pracy w polu, na białogłowy udające się po codzienne sprawunki oraz dzieci, wesoło biegnące do szkoły. Bał się tylko wchodzić do świątyń, więc jedynie tam można było czuć się bezpiecznie. Podobno nie lubił śpiewu i zapachu kadzidła, dlatego omijał kościoły szerokim łukiem. Niestety potrafił stawać się niewidzialny, albo zamieniać się w różne, ludzkie i zwierzęce postaci. Ludzie ze strachu bali się wychodzić z domów. Żeby nie paść ofiarą Kovida, zakładali na twarze różne maski, a na rękach nosili jednorazowe rękawiczki sądząc, że zmylą go swym wyglądem. Jednak Kovid był bardzo przebiegły, i nikt nie wiedział, kiedy miał z nim do czynienia. Chodził od rana do nocy po bliższej i dalszej okolicy, a podobno nieraz przebywał w dwóch miejscach równocześnie. Miejscowe białogłowy przysięgały, że widziały go, jak kupował owoce w Cytrusku, a z kolei inne widziały go w tym samym czasie na targu w Czernikowie. Jeszcze inne zaklinały się na wszystkie świętości, że o tej porze kupował pierniki w Toruniu, by wręczyć je osobiście kwiaciarkom pod Ratuszem. Nadaremno okoliczni mieszkańcy zastawiali sidła na Kovida, który pozostawał nieuchwytny. W końcu posłano po pomoc do króla, którego biały zamek wznosił się w Obrowie. Król zebrał Radę Mędrców i rozpoczęły się długie obrady. Przedstawiano różne plany, ale żaden z nich nie miał szans na powodzenie. Król postanowił wyznaczyć nagrodę za zgładzenie Kovida. Jednak mimo, że wielu odważnych mężczyzn próbowało, nikomu to się nie udało.

Tak minęło lato, a jesienią rozpętało się prawdziwe piekło. Kovid widząc, że może sobie na wszystko pozwolić, zaczął masowo zarażać. Ludzie ze strachu zamknęli się w domach. Całe rodziny leżały chore, licząc na litościwych sąsiadów i przyjaciół, którzy im uwarzą ciepłej strawy, by mieli co do ust włożyć. Zostawiali im garnki z zupą pod drzwiami i uciekali, by nawet nie spojrzeć na cierpiących. Wszystkim było ciężko. Ci, co nie zachorowali, trzęśli się na myśl, że Kovid tylko obmyśla plan, jak ich dopaść. Zamykali szczelnie okna i drzwi, i drżeli, co będzie dalej.

W niedalekim Zabłociu, nad brzegiem bagna mieszkała pewna wiedźma o imieniu Krzepicha. Była brzydka jak noc listopadowa, miała tylko kilka zębów, i wszystkie były czarne. Nosiła szpiczasty, czarny i dziurawy kapelusz oraz powłóczyste szaty, które darły się o jej wystające kości. Nigdy nie obcinała paznokci i nie czesała włosów wychodząc z założenia, że szkoda na to czasu. Jej towarzystwem były tylko żaby i ropuchy, tak samo brzydkie, jak ona. Nawet ptaki odlatywały z krzykiem, gdy jej sylwetka zamajaczyła się tylko z oddali. Wiedźma czuła się bardzo samotna. Krążyła po okolicznych lasach, płosząc grzybiarzy w Sąsiecznie. Pewnego razu dotarła na taras nad Wisłę. Zobaczyła bajecznie wyglądający zamek i zapragnęła zostać w nim za zawsze. Nie wiedziała tylko, jak to zrobić, ale zaczęła obmyślać plan. Potężne wrota wyglądały na masywne i nie do sforsowania. Postanowiła więc zasięgnąć języka w okolicy. Ruszyła z powrotem do lasu, wystraszyła kilku grzybiarzy, od których dowiedziała się, że w zamku mieszka młodzieniec o imieniu Kovid, którego wszyscy się boją. Nie mogła zrozumieć, skąd wynika ten lęk, ale pomyślała, że to na pewno z zazdrości o jego bogactwo, które przecież widziała na własne oczy. A może z powodu jego skośnych oczu? – zastanawiała się. Im dłużej myślała, tym bardziej czuła, że to może być idealna partia dla niej, samotnej i szukającej bezskutecznie – jak on – towarzystwa. Nie poznali się na nim, tak jak na mnie - mówiła do siebie, zaparzając sobie kawę wodą z bulgoczącego bagna. Młody, na pewno piękny … tak, jak ja – marzyła, głaszcząc swoje długie, brudne włosy. Podjęła decyzję, że odszuka Kovida i zostanie jego żoną. Obmyśliła więc sprytny plan.

Pewnej nocy zakradła się pod zamek, ubrana w swoją galową szatę, aby zrobić jak najlepsze wrażenie na młodzieńcu. Stanęła wśród drzew i czekała. Z daleka od wsi dobiegało szczekanie psów, a z lasu pohukiwanie puszczyka mszarnego. Czekała, czekała, Wisła tak miło szumiała, że w końcu zmęczonej wiedźmie zachciało się spać. Oparła się o drzewo i zasnęła. Obudziło ją skrzypienie potężnej bramy. Mimo jednak, że wybałuszała ślepia, nic nie widziała w oparach gęstej, wiślanej mgły. Tak bardzo chciała zobaczyć młodzieńca, że wybiegła z kryjówki i stanęła oko w oko ze swoim przeznaczeniem. Młodzieniec pewny siebie, choć nieco zdziwiony, spojrzał na nią, chcąc uczynić z niej ofiarę. Jednak wiedźma wydobywając całe zasoby kobiecości, której nikt by się po niej nie spodziewał, uśmiechnęła się szeroko i powiedziała: Cóż za miłe spotkanie! Spacerowałam właśnie nad rzeką obserwując budzący się dzień. Widzę, że Pan także lubi spacery o poranku? Kovid stanął jak wryty. Jeszcze w życiu nie widział tak szkaradnej postaci, a pierwszy raz w życiu stanął przed nim ktoś, kto się go nie bał. Zakaszlał, żeby trochę zyskać na czasie. Przyjrzał się uważnie wiedźmie i stwierdził, że pewnie to zwyczajna białogłowa ubrana w maskę. Wyobraźnia podpowiadała mu, że pewnie jest tak piękna, jak wszystkie panny z ziemi obrowskiej. Pomyślał też, że to bardzo miłe, że wreszcie ktoś się nim zainteresował. Ale obudziło się w nim także pragnienie krwiożerczej bestii, która pragnie kolejnej ofiary. Gdy tak się zastanawiał, co zrobić, mgła znad Wisły ustępowała, a wiedźma coraz śmielej zalecała się do młodzieńca. Kovid dziwił się, że Krzepicha nie ulega jego mocom, a wręcz przeciwnie – zamiast zachorować, rozkwita jak róża. Nie mógł się nadziwić, jak to możliwe. Tymczasem od słowa do słowa, rozmowa toczyła się aż do zmroku i w końcu Kovid uległ jej wdziękom i elokwencji. Niedługo potem zaręczyli się i zaczęli planować huczne wesele.

Skrybowie dzień i noc trudzili się, by wypisać wszystkie zaproszenia dla gości z całego świata. Gośćmi honorowymi mieli być bracia Kovida, którzy mieli zaprezentować swoje przyszłe żony. Krzepicha obmyślała suknię ślubną, która miała zamiar oczarować pana młodego i jego rodzinę, a Kovid wyruszył na polowanie do okolicznych lasów, obfitujących w zwierzynę.

Tymczasem wśród mieszkańców zapanował spokój. Ludzie wracali do zdrowia. Jednak wieczorami, przy wieczerzy lub w karczmach, rozbrzmiewały głosy troski i niepokoju o ich dalszy los. Wszyscy bali się, że Kovid znów zaatakuje. Postanowiono znów poprosić króla o pomoc. Na biały zamek do Obrowa zjechała się Rada Mędrców, siedząc i debatując dzień i noc, jak pozbyć się Kovida. Postanowiono wykorzystać fakt planowanego wesela i w głębokiej tajemnicy napaść na zamek, w najmniej spodziewanym przez wszystkich momencie.

Wreszcie nadszedł dzień ślubu. Od samego rana zjeżdżali się goście, ubrani w bogate stroje, w eleganckich powozach, zaprzężonych we wspaniałe rumaki. Zamek tętnił głosem wielu rozmów, rozbrzmiewał śmiechem i głośną muzyką. Krzepicha w białej sukni z trenem wdzięczyła się do Kovida, zapewniając go o dozgonnej miłości. Lokaje próbowali zadowolić gości, kucharze uwijali się jak w ukropie, gotując wykwintne dania, reszta służby krzątała się, starając się zapanować nad sytuacją: rozprzęgali i poili zdrożone długą podróżą konie, nosili bagaże gości do ich komnat. Nikt nie pilnował zamku.

Na taką właśnie okazję czekała drużyna dzielnych wojów pod dowództwem króla. Gdy tylko zaczął zapadać jesienny zmrok, ruszyli na zamek i atakując, zaskoczyli bawiących się gości. Weselnicy jednak nie zamierzali się tak łatwo poddać. Rzucili się do swoich komnat, by gorączkowo poszukiwać broni. Jednak dzielni wojowie z Obrowa pokazali im swoją siłę. Prowadzeni do boju przez króla, siekli szablami wszystkich, którzy stanęli im na drodze. Tak idąc, szukali Kovida. Ten zaś, zebrawszy swoich braci, postanowił bronić się do upadłego. Jednak przypierani przez wojów z Obrowa, wciąż cofali się przed ich naporem. W końcu stanęli na samym krańcu tarasu zamku, gdzie broniąc się resztką sił, przypierani do muru, padali jak muchy. Kovid, nie chcąc się zmierzyć z królem, który szedł wprost na niego z błyskiem przyszłego zwycięstwa w oku, rzucił się z tarasu wprost do Wisły, a za nim - jego bracia. Zakotłowała się rzeka, wzburzyła się i pochłonęła ich wszystkich. Drużyna wojów zakrzyknęła z ogromnej radości. Usłyszała to Krzepicha, która schowała się w mrocznej komnacie. Podeszła do okna i zobaczywszy błyszczące zbroje zwycięzców, zaklęła szpetnie domyślając się klęski Kovida i jego braci. Rzuciła się do starej szafy, wydobywając dziwne mikstury, pokryte pajęczynami. Na widok jednej z nich, tajemniczy uśmiech pojawił się na jej twarzy. Otworzyła butlę i zaczęła coś mamrotać, coraz głośniej i głośniej. Mikstura zaczęła bulgotać, pienić i zamieniać się w mgłę, która wypełzła z komnaty przez szparę pod drzwiami. Nagle miejsca, przez które przepłynęła - zaczęły stopniowo znikać.

Tymczasem ucieszeni zwycięstwem wojowie wyszli z zamku, by sprawdzić, czy Kovid się nie uratował. Jednak wzburzona Wisła nie oddała tego, co wzięła. A zamek opanowany przez mgłę, powoli znikał, znikał, aż pozostał z niego tylko jeden głaz. Król kazał go zabrać i ustawić w centrum Obrowa tuż przy szkole, na pamiątkę zwycięstwa nad Kovidem. A co się stało z Krzepichą? Nikt jej więcej nie widział, ani o niej nie słyszał.

 Ludzie jeszcze przez wiele miesięcy snuli opowieści o tych wydarzeniach podczas długich, zimowych wieczorów. Podziwiali odwagę króla i dzielnych wojów, a także pomysł Rady Mędrców, by napaść na zamek w najmniej oczekiwanym momencie. Cieszyli się, że wszystko dobrze się skończyło, a ich życie toczyło się dalej spokojnym rytmem.